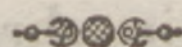
1842. 1 LISTOPADA Nr. 31.

PRZEGLĄD NAUKOWY

WSTĘP DO FILOZOFII SZTUK PIĘKNYCH.

PRZEZ DRA K. LIBELTA.



(PRZEGLĄD)

Nie tylko dzieł mogą być przeglądy; artykuły, urywki, wstępy, owo zgoła każde pismo, byłe ważnêm było, podpada pod przegląd, rozbiór, uwagi; bo minęły już czasy, w których wolno było krytyce, twory ducha na łokcie rozmierzac, w których po ilości stronnic, wartość książki, po ilości wierszy, twórczość poety sądzono. — Nie moglibyśmy zaiste, prze-

nieść na sobie, aby milczéć o wystąpieniu Karola Libelta, który jest jednym ze znakomitszych filozofów i pisarzy naszych, którego wstęp do filozofii sztuk pięknych, wiele ważnych i własnych zawiera pomysłów, mogących na rozwinięcie estetyczne pojęć w naszym kraju, wpłynąć bardzo zbawiennie.—

P. Libelt, założył sobie we wstępie do swéj filozofii sztuk pięknych *) dać pojęcie, jakie one zajmują stanowisko?; jest to pytanie żywotne dzisiejszéj filozofii, — uczuwa bowiem duch ludzki jak niestosowne miejsce w rzędzie Wiedzy nadały sztukom pięknym, Filozofija bezwzględna i rozwijająca się obecnie filozofija czynu. — Filozofija bezwzględna, uważa sztuki piękne, za przeczucie prawdy, Religiję za wiarę w prawdę, Filozofiję za Wiedzę prawdy. P. Libelt, uważa Umnictwo za przejście od Wiary do Wiedzy. Naznacza więc sztukom pięknym w ogólności wyższe stanowisko niż Filozofija bezwzględna — lecz to wyższe stanowisko nie jest jeszcze prawdziwém. — Już rzuty pierwotne, zarodowe, do oznaczenia tego stanowiska prawdziwego, znajdują się we wstępie p. Libelta, lecz jest jeszcze, w tym-że wstępie wiele pomysłów poniżających sztuki piękne. —

— Pan Libelt wykłada estetykę to jest filozofiję Umnictwa dla tego, aby słuchaczom wlać w serce żar miłości ku filozofii, albowiem jak miłujemy piękność tak umiłujemy filozofiję gdy ją w piękności ujrzymy; cel więc odczytów pana Libelta jest najszlachetniejszy, najwznioślejszy **). Lecz czyli właściwie obrany przedmiot? Prawda, umnictwo i jego Wiedza, są bezwątpienia najpowabniejszemi z dziedzin, do których duch ludzki wzbić się zdolen, prawda,

*) Patrz artykuł umieszczony w Bibl. Warsz. T IV str. 62 do 109. z r 1842.

**) Mowimy: cel odczytów, bo wstęp o którym mowa, jest wyjątkiem z odczytów Estetyki mianych przez Dra K. Libelta, w półroczu zimowem 184¹/₂ roku. —

Umnictwo równie ściśle filozoficzném jak każda inna z umiejętności lub dziedzin myślowych, jednak, zgodzi się zapewne na to p. Libelt, że łatwiéj pojęcie filozofii z jéj dziejów daje się wysnuć, a na powabie tym-że pewno nie zbywa. Dopatrując filozofii w umnictwie, — Mąż, ukształcony wiedzowo, wyprowadzi z niego Wiedzę, lecz uczeń, często, na mylną drogę własném rozumowaniem nad Umnictwém wprowadzony zostanie. — Wtóry powód, z którego sądzimy mniej stosownym wykład filozofii Umnictwa, jako wstępu do wiadomości filozoficznych, jest ważność stanowiska Estetyki, tę ważność uznać jest właśnie jedném z żywotnych zadań spółczesności. Żałować należy, że okwiły w utworcze pomysły Karol Libelt, uważając filozofiję Umnictwa jako *środek* do osiągnienia *wyższego celu*, sam sobie wzniosło-lotne wyłamuje skrzydła, nie dozwalając aby w jego wykładzie uczeń, widział filozofiję Umnictwa nie jako służebnicę czego innego, lecz jako samą sobie celem będącą. — Pomijamy jednak te szczegóły. —

P. Libelt, rozważa, — dawszy ogólny rys Wiedzy (rozumie się najtreściwszy), stanowisko człowieka do sztuki, sztuki do natury i sztuki do Boga *). W pierwszym ze stanowisk, daje naprzód oznaczenia zupełnie ogólne, stosunku człowieka do świata zewnętrznego, w stanowisku bezpośredniości, pierwotności, w stanowisku zmysłowego postępu (wynalazków) i w stanowisku potrzeb ducha, — te są wstępem do objawienia ducha w człowieku i troistego sposobu tego objawienia, według p. Libelta polegającego w uczuciu, rozumie i wyobraźni — pierwsze rodzi wiarę, drugi — umiejętność, trzecia sztukę. — Tu dopiero p. Libelt w prawdziwą dziedzinę Umnictwa wchodzi, lecz czy prawdziwie ją rozważa?

---

*) Z tych, tylko pierwsze stanowisko dotąd wytłoczone zostało w Bibl. Warsz.—

Wysnuciu potrzeb duchowych w człowieku, nie mamy nic do zarzucenia, bardziéj zdaje nam się wątpliwą rzeczą, azali obudzenie się duchowości w człowieku, słusznie pojęte? (str. 80, 81 i 82) Odnoszenie się do objawienia, i pojęcie tegoż, uważanie iż człowiek nie z siebie, uznanie siebie czerpie, zdają nam się być nie tylko sprzecznościami z prawdą lecz nawet rozminięciem się samego p. Libelta z sobą czyli Antilogiją. Według tego przyjęcie troistéj drogi objawienia się duchowości winnoby, według nas, uledz pewnéj zmianie, — i tak: P. Libelt mówi, troista jest postać objawienia się ducha ludzkiego, — niesłuszniéj-że byłoby wyrzec, iż żywioł duchowy człowieka, potrójne przedstawia oblicze, — nie sądźmy jednak iż tu idzie *tylko* o wyrażenia, wszakoż ów pojaw ducha, o którym mowa, nie troisty lecz jeden, — nie w potrójnym odbywa się kierunku lecz w jednym, a w téj jedności swéj ukazuje swą troistość, którą jednak pojmować musimy jako istniejącą tylko w całości. Weźmy przykład dla objaśnienia tego co wyrazić chcemy. — Magnesowa igła potrójność w bycie swym okazuje, — jest w jéj całości biegun północny, jest wtóry biegun południowy, jest nakoniec całość; ogół tych biegunów, są razem wzięte dwa bieguny. — Owoż istność magnesu potrójne okazuje oblicze, lecz ta potrójność istnieje tylko, — o tyle o ile bytuje całość, — gdybyśmy całość Magnesu *mogli* zniszczyć i zniszczyli, żadne z trzech oblicz jego pojawu nieistniałoby, — gdybyśmy *mogli* zniszczyć który bądź z biegunów, lub rozerwać ich łączność, — jużby żadne z troistych obliczów ani całość nie istniała. — P. Libelt przypuszczając troistość objawienia w osobnych, i omal niezależnych torach, — nie mówi o ich jedności, a jednak, z innych pism jego wiemy, że wiedzowo pojmuje w jedności, trojność. Ważniejszą nad tę Antilogiję, która mogła była wprost z zapomnienia chwilowego, — lub małéj niedokładności powstać, jest twierdzenie iż człowiek, uznanie siebie jako ducha, i jawienie swojego ducha nie z siebie czerpie. (str. 80,

81 i 82) P. Libelt, wstępuje w dziedzinę *bezpośredniego wiedzenia*, w dziedzinę Kanto-Jakobiégo filozofii. —

A jednak stanowisko p. Libelta, jest bezporównania wyższe nad owe przekwitłe układy. P. Libelt, jaśnieje potęgą ducha, miał-żeby przestać wiedzieć o duchu, o własnéj potędze? — Nie, niepodobna, to tylko Antilogija, — ale ważna! Z niéj wypłynęło spaczone pojęcie stanowiska umnictwa *).

To co p. Libelt nazywa, trzema drogami objawienia, winno być nazwane trzema obliczami ducha, — a wtenczas zgodzimy się na jego poddział, jakoż uczucie, — myśl (rozum) i tworczość (wyobraźnia) są właściwie temi obliczami, czyli żywiołami ducha, których właśnie jedność jest duchem, które tylko w jedności istnieją a pojedynczo, lub rozerwanie bytować nie mogą. Lecz tu, znowu co do wyrażenia, uczynimy zarzut panu Libeltowi, dla czego *Tworczość*, nazwał Wyobraźnią? gdy wyobraźnia jak słusznie sam p. Libelt uważa (str. 86 i dalsze) jest nie tylko twórczą lecz i bierną, a zaiste

---

*) Tu *niepodobna* nam się jaśniéj wyrazić. Czytelnik mający zamiłowanie w kwestijach przez nas dotkniętych, raczy, kilkakroć przytoczone stronnice wstępu p. L. (w Bibl. W. T IV. 80. 81, 82 str.) odczytać, oraz przywołać sobie w pamięć co znaczy wyrażenie techniczne *bezpośrednie wiedzenie*.

Nieodrzeczy będzie dodać tu krótką odpowiedź na zapytanie, co jest natchnienie? albowiem mogłoby się zdawać, iż natchnienie właśnie jest rodzajem Jasnowidzenia, jakby *bezwiedzianem* przeczuciem Prawdy w postaci piękności, jakby *objawieniém* téj Prawdy, jéj *bezpośredniém wiedzeniém*. Rzecz się ma jednak zupełnie inaczéj. Natchnienie jest potęgą ducha człowieczego, — potęgą w ogólności twórczą, lub przynajmniéj czynną, — zrodzoną bez żadnego wpływu obcych istności, *własną* wprost, gwałtowną *miłością* ducha ludzkiego ku przedmiotowi, który ma na myśli — Gdy wieszcz czuje miłość do przedmiotu, którym się zatrudnia, do poematu, który stwarza, jest natchnionym, bo miłość rodzi potęgę — a wtenczas Piewca stworzy arcy-dzielo. —

zasadą umnictwa tylko wyobraźnia twórcza t. j. twórczość być może. — Podobnież, zgadzając się że myśl t. j. według wyrażenia p. Libelta, Rozum, rodzi Wiedzę, którą p. Libelt oznacza przez wyraz umiejętność i że tworczość (według wyrażenia pana L. wyobraźnia) jest zasadą umnictwa, nie możemy przystać na założenie znakomitego Pisarza, iż uczucie jest źródłem wiary. Wiemy że to twierdzenie nie jest nowém, lecz czy weźmiemy słowo *Uczucie* w znaczeniu *Gefühl* czy w znaczeniu *Gemüth*, zawsze przyznać będziem musieli, po bezstronném zastanowieniu, że uczucie *Gefühl* rodzi żywot, — albowiem jest zasadą skłonności, namiętności i t. p. Uczucie zaś *Gemüth* rodzi marzenie, kontemplacyję, czułość, litość i t. p. — Wiara inne ma źródło, — jakie? nie tu miejsce jest rozwijać. P. Libelt, idąc za błędem Filozofii Bezwzględnego stanowiska, — a raczéj za błędem Tworcy téj-że, utrzymuje, że wyobraźnia jest przejściem od uczucia do myśli, str. 86, rozumiejąc przez wyraz wyobraźnia zawsze tworczość, dowodzi zaś tego, mówiąc, że działaniem ducha na materiję jest Umnictwo, (str. 88 »duch człowieka występując na zewnętrz tworzy sztuki piękne« str. 87 i 86) *działaniem pośredniem* *). A znów daléj mówi stc. 87 że natchnienie, jest najwyższém uczuciem i staje się.... myślą i wiedzą; natchnienie więc t. j. właściwie Tworczość — za strojną łączność uczucia i myśli uważa, co jest zupełnie prawdziwem lecz z poprzedzającém zdaniem znakomitego Pisarza, stanowi Antilogiję, sprzeczność z samym sobą. — W następnym ciągu autor zastanawia się iż sztuki piękne wyprzedzały zawsze filozofiję w pojawianiu się dziejowém. — Zdanie to powtarzane tylekroć stało się *oklepaném* **). Ale czy w jego prawdziwości godzi się upatrywać niższości Umnictwa, od Wiedzy? — Wszakoż wielcy

---

*) Nie *ten* lecz podobny błąd, w swéj Estetyce popełnił Mędrzec Berliński.

**) *Lieu commun*, — mówi się według ludu naszego — *rzecz oklepana*, — rubaszne lecz dobitne wyrażenie!

Mężowie (jeżli nam się godzi przykładami mówić w rzeczy tak poważnéj) owe słońca ludzkości, posłannicy olbrzymich myśli, wyprzedzają wiek swój — o kilka wieków zwykle, — to co oni wypowiedzą, ogół znacznie późniéj, i to w niższéj postaci dopiero pojmuje. Czyż ci Posłannicy Niebios niższemi być mają — od tych których za sobą, więc od siebie późniéj, do swéj wielkości wznieśli? — Czyż Piewca dla tego, że z jego przyczyny po nim zakwitnie nauka, która nawet jego szczytu może nie dojdzie, ma być niższym, — od następców swoich? Tyle w tém miejscu, gdzie indziéj więcéj w tym przedmiocie powiémy. —

W dalszym ciągu swojego wykładu, p. Libelt przechodzi ideał, który uważa za Pojęcie Boga, jako doskonałości — daléj wstępując w dziedzinę sztuk pięknych, uważa urzeczywistnienie ideału za *piękno* — i przechodzi pojęcia sztuki jako myśli wdrażającéj się w materijał, jako popędu *ducha* na zewnątrz, (jako wyrazu wieku, charakteru narodowego, indywidualności) i pojęcie sztuki jako dzieła. — Zakończa rzecz rozwagą uczucia przyrodzonego piękna (t. j. Piękna na stanowisku natury, miłości i czci).

Bóg, twierdzi słusznie p. Libelt jest ideałem, — albowiem jest najdoskonalszym, najmędrszym i t. d. lecz fałszywy stąd wniosek wywodzi, — że te doskonałości siłą imaginacyi wywołane z wnętrza ducha.... są *ideały*. (92 str) — Osnowa ta zbyt jest ogólną. Jak-że p. Libelt wytłumaczy według swego sposobu widzenia ideał w ostatniém np. z Arcy dzieł Szyllera w Wilhelmie, gdzie właściwie *Ludzkość i godność ludzkości* są Ideałami?

Dawszy osnowę *piękna str. 93* »harmoniją znaku i znaczenia, jedność formy i treści »nazywamy *pięknem*« dodaje p. Libelt: Piękno jest Ideałem w rzeczywistości, my sądzimy że piękno, jest jednym z warunków doskonałości sztuki, nie zaś urzeczywistnieniém Ideału, boć w Umnictwie średniowiecznem, gdzie najwięcéj jest idealności, mało jest *piękna*, owszem

nie ma go, — nie harmonia lecz wyższość ducha nad materiję w niém panuje, a umnictwo Hellenów, gdzie *piękno* jest najdoskonaléj oddane, gdzie harmonija ducha i materii jest zupełna, to umnictwo, mniéj Ideałów przedstawia — ideałów wziętych nawet w tém znaczeniu jakie im p. Libelt nadaje. — Pojęcie *piękna* jako Ideału w rzeczywistości, prowadzi do spaczonych pojęć o Umnictwie, uznaje to sam p. Libelt wpadając w Antilogiją z samym sobą, str. 93, gdy mówi: »Sztu»ka przedstawia nam się naprzód jako myśl wryta w mate»rijał i tém samém wyglądająca z materijału. — Nie materi»jał zatem, nie kunszt, nie praca, ale to co przez pracę z ma»terijału przegląda .... to jest istotą sztuki« więc nie *piękno*, nie harmonija ducha i materii, lecz przewaga ducha jest istotą Umnictwa. Jest to jedna z prawd najważniejszych Umnictwa, dla czegoż tylko przez pół wyrzeka ją p. Libelt, — pierwéj zaprzeczając ją, teraz ją twierdząc. —

W pojęciu sztuki jako dzieła, str: 99, najfałszywiéj twierdzi p. Libelt *że świat jest zupełném*, *najwyższém*, *najdoskonalszém pięknem* — i prawie wypowiada, lubo nie jasno, nie zupełnie i nie temi słowy, »że Umnictwo jest naśladowaniem świata t. j. przyrody, postaci człowieka, dziejów i t. d. To zdanie, powtarzamy, jest ledwie w pół wyrzeczone, lecz przedstawia nam się jako zupełnie wynikły wniosek, z wyrzeczonego, iż świat jest *zupełném*, *najwyższém*, *najdoskonalszém pięknem*, boć jeżli ową najwyższością piękności jest, cóż może innego dawać sztuka piękna, jak odbicie świata, jak usiłowania stworzenia czegoś podobnego temu, najdoskonalszemu, najwyższemu *pięknemu?*

Owoż przyzna sam p. Libelt, że takie pojęcie Umnictwa jest zupełnie prozaiczne i dzisiejszemu stanowisku nieodpowiedne. — Wyrzekł je Kant, — lecz wkrótce upadło nie mogąc się utrzymać dla niedostateczności swojéj. Co do owéj najwyższéj piękności świata, — prosimy czytelników żeby raczyli zważyć iż lubo wiemy *że wszystko co jest, jest rozu-*

mnie urządzone, jednak różnica Umnictwa od przyrody, wyższość jego nad nią — polega właśnie na tém że, piękność umnicza, jest wyższą nad piękność świata, (zob. nasz artykuł *Piśm. powszechna* Przegl. N. T. III str. 888). — A piękność umnicza, odbijająca piękność świata, jest tylko pięknością *przedmiotową*, nie zaś *umniczą*, *bezwzględną*. —

Uwagi nad stanowiskami uczucia *piękna*, nie zdają nam się podobnież być wolnemi od usterek; do takich zaliczamy iż znakomity pisarz, w epokach różnych tego uczucia, (*cielesności*, natury — powtóre *miłości*, potrzecie *czci*), rozważa tylko Umnictwo u Greków, (piękno na stanowisku natury i saméj cielesności) gdy rzeczą jest niezawodną że Indowie mieli wysoko wykształcone Umnictwo, mieli je Hebreowie, miały je i inne ludy wschodnie, dla czegoż pomijać ich stanowiska? — Uznanie miłości za *jedyną* zasadę średniowiecznego Umnictwa jest jednostronne, — a uznanie *czci* za zasadę Umnictwa przyszłości, nie jest wyprzyczynnione, i niedowiedzione, *cześć* jako *uczczenie*, jako niebiańskość, pogodność — ma znamię jadnostajności — łatwa więc do wyczerpnięcia, — *Namiętność* jako najrozmaitsza, nie może być wyczerpniętą; a że może być *godną* zasadą Umnictwa, i teorija i przykłady uczą. —

Owo zgoła, na całość wyjątku odczytów p. Libelta rzucając spojrzenie, powiemy iż rzecz jest wyborna i wybornie wykonana, żałować należy że nie zupełnie wolna od usterek.

Edw. Dembowski.



OD REDAKCYI.

Poszyt Listopadowy *Przeglądu Naukowego* już był w połowie złożony, gdy Redakcija otrzymała ułamek z pięcioaktowéj dramy p. t. *Matylda*, czyli gra namiętności przez K....... N....... Umieszczamy go więc na prędce, odkładając wszakże na czas dogodniejszy rozbiór całego utworu, we wszystkich jego odcieniach. Póki nie uiścim się jednak z danego słowa, udzielamy naszym czytelnikom następującego objaśnienia.

Donieśliśmy iż *Eugeniusz Sue*, jeden z koryfeuszów romantycznéj literatury francuzkiéj (nazwanéj *szaloną* przez Michała Grabowskiego), napisał romans p. t. *Matylda*. Pięć edycyj w przeciągu jednego roku, świadczą o jego bezprzykładném powodzeniu. Szał spekulacyj przemysłowych, ogarnąwszy we Francyi niemal wszystkie gałęzie czynności ludzkich, wkradł się nawet i do literatury. Chcąc więc bić pieniądze na trzech kowadłach od-razu, autor *Salamandry* rozpiął swój romans na trzech warsztatach, t. j: na feljetonie *Journal des Débats*, późniéj na sześciu tomach w 8ce i nakoniec, na scenie teatru *Bramy Śgo Marcina*, gdzie od miesiąca, pośród gwizdań i oklasków, nowa drama bywa grywaną *).

Szczególnym trafem, autor polskiéj dramy spotkał się jednocześnie z myślą *Eugeniusza Sue*. To zbliżenie podwójnie dla nas jest zajmującém, a mianowicie: jako sympatija umysłowa, i jako rysunek artystyczny jednego i tegoż samego obrazu. Między temi dwoma utworami, z których jeden ujrzał światło u Nas, a drugi na zachodzie, widzimy jednak niezmierny przedział w odmalowaniu stanu wyobrażeń, w kierunku gustu, i w silnych uczuciach moralnego wpływu. W tym dramacie Autor starał się, o ile można, — pogodzić dramatyczną obrazowość z czystością rozwinięcia. Nie-

*) Zobacz J: des *Débats* z dnia 26 Września.

można nawet powiedzieć, aby cała treść była wzięta z romansu *Matyldy*. Właśnie ta chęć uniknienia rażących odcieni wypadków i uczuć, spowodowała autora do zrobienia ważnych zmian w układzie, i zarazem do wprowadzenia na scenę nowych kreacyj, które chociaż nie są głównemi osobami sztuki — swoim jednak charakterem umacniają moralne znaczenie całości. O ile nam wiadomo, autor szedł, do połowy IV aktu z-daleka obok myśli głównéj *Eugeniusza Sue* — potem już sam postępuje naprzód.

Umieszczamy tu dwie sceny, jedną, między Matyldą i Urszulą, (którą autor nazywa Ewą) drugą, między Ewą a Gontranem. W pierwszéj zwłaszcza, autor uchwycił z mistrzowską biegłością ogólne zarysy *Eug. Sue*, tworząc z nich wykończone obrazy dwóch charakterów.

UŁAMEK Z DRAMY

POD TYTUŁEM:

MATYLDA

W 5 AKTACH ORYGINALNIE NAPISANÉJ

przez K....... N.......

PORA II.

AKT III.

Scena I.

Pokój w zamku Maran.

Matylda (*hrabina de Lancry, przy robocie*).

Teraz wsparta na miłości mego męża, czuję się być silną. Czekam na nią. Zobaczymy do jakiego stopnia kobieta mo-

że zapomnieć, że jest kobiétą. Uraza wielka, a jednak, w téj chwili czuję tyle gościnności w sercu, że gdyby Ewa upokorzyła się... to bym pokój z nią zawarła. (*zamyśla się*) Wszystko co się ze mną stało, dowodzi, że pamięć serca w pewnych odcieniach jest wątłą. Wszystko przeszło, — trwoga, podejrzenie, zgryzoty, rozpacz, rozmaite nieszczęścia. Cały ten szereg cierpień czy istniał kiedy? Nie wiém — nie pamiętam. Zimny rozsądek ma tylko pamięć — silne uczucie nie ma jéj. Zdaje mi się tylko, że świat piękniejszy, że powietrze lżejsze, że ludzie lepsi! — Bóg zasmucił — Bóg pocieszył! Dość było z boleścią wykrzyknąć: »Gontranie! oszczędzaj przyszłą matkę twego dziecka« — aby ten człowiek nieugięty, padł do nóg moich, aby się obwinił, aby wykonał przysięgę nową. Od trzech dni myśl jedna między nami, nadzieje też same. O tak! ja czuję tylko moje zmartwychstanie, a chwil poprzedzających nie pamiętam. Któż pamięta barwę dnia pochmurnego, kiedy słońce nagle zajaśnieje w uroczym majestacie? — Jestem szczęśliwą! (*westchnienie— zamyśla się*) Szczęśliwą? A tamten — tamten!... Ród mężczyzn, podobnych do Gastuna de Mortagne gaśnie widocznie. O! ten nigdy nie poda memu Gontranowi dłoni przyjacielskiéj. Precz z tą myślą! ona graniczy z okropném wspomnieniem! (*ogląda się i mówi pocichu*) z niesławą ojca mego dziecka, (*przysłuchuje się*) Ha! Słyszę stąpanie Ewy..... Uspokójmy się, trzeba przytomności umysłu — trzeba zimnéj krwi.

Scena II.

Ewa, (*lekko wbiegając*)

Ah! bon jour! Jak mi się miewasz?

Matylda. (*ozięble*)

Dziękuję.

Ewa.

I ja ci dziękuję. Naprzód, że podobało ci się tego rana

być śliczniuchną jak aniołek; — potém, że masz ten boski *négligé* na sobie, w którém ci tak do twarzy. Przed kilku dniami ubierałaś się bardzo niedbale.

Matylda.

Nie o tém tu mowa.

Ewa.

Szkoda! (*ogląda négligé*) Jakie pyszne garnirowanie! A wstążki, wstążki! No, i o czém też ma być mowa?

Matylda.

Wszak wiesz, że restaurowanie waszego domu w *Rouvray* pono już ukończone?

Ewa. (*roztargniona, siada na krześle*)

Tak jest.

Matylda.

Pewnie zechcesz sama zatrudnić się umeblowaniem jego?

Ewa. (*parskając ze śmiechu*).

Niepodobna niezgrabniejszym sposobem wypędzać ludzi z swego domu!

Matylda.

Kiedy tym ludziom trzeba to powtarzać. Mąż mój już to uczynił dnia onegdajszego.

Ewa. (*żywo*)

Skąd ty wiesz o tém?

Matylda.

Dziwne pytanie! (*z przyciskiem*) Mąż mój we wszystkiém mi się zwierza.

Ewa.

We wszystkiém?..... No, proszę — jaka harmonia.

Matylda.

Nie inaczéj; — nawet za wspólném porozumieniem się z mężem, byłam przytomną, chociaż niewidzialną waszéj rozmowie. —

Ewa.

Pięknie, bardzo pięknie! Podstęp, zdrada!.... byłaś obecną?... Hm! zważywszy rzeczy, rzeknę..... tem lepiéj! A więc słyszałaś jakiem twego zdrajcę traktowała? (*Pompatycznie deklamując*) I niewidzisz-że w tym wszystkiém, palca przeznaczenia, ręki Opatrzności?..... Ha, ha!

Matylda.

Są pewne słowa, których parodiować, jest, że tak powiem, nieobyczajnością duszy. Jesteś kobietą, lituję się nad tobą!

Ewa.

Dziwna definicija! Ale ponieważ jestem Francuzką, niezrozumiałam dobrze téj wykwintności psychologicznéj. Gdybym była uczennicą Kanta, możebyś mię nią zbudowała; tyle tylko wiem, że zamiast kroku pojednania, przymuszasz mię cofnąć się o jeden krok w tył.

Matylda.

Ewo! przebacz mi, Bóg widzi, żem to powiedziała w do-

bréj myśli. Ale zastanów się także, że postępowaniem twojém trwonisz twą przyszłość a moją teraźniejszość. Niepodobna abyś nie czuła, że po tém co zaszło, nie możesz dłużéj pozostać w tym domu bez naruszenia mojéj spokojności.

Ewa.

Co ma tyle znaczyć, że się mnie boisz, — t. j. że jesteś zazdrośną. (*Kłania się ceremonialnie*) Za wiele honoru!

Matylda.

Wszystko ci do twarzy, i smętność i wesołość; i dla tego się ciebie boję, i właśnie dla tego jestem zazdrośną o męża.

Ewa.

Wiesz co Matyldo? Zamiast sobie zaprzątać głowę temi drobiazgami, rzuć to wszystko w niepamięć. Przecież słyszałaś z jaką pogardą oznajmiłam twemu mężowi, że mam do niego nieprzezwyciężony wstręt.

Matylda.

Fałsz! fałsz, mówię ci, — bo obok tego, skreśliłaś mu w jarzących, w czarujących kolorach, całą namiętność miłości, a późniéj dodałaś, że umiesz szalenie kochać. Mężczyźnie zaś uczynić takie wyznanie, jest to samo, co go wyzwać do walki miłości i do zwycięztwa.

Ewa.

Przeciwnie — jestto podstęp taktyki niewieściéj, którym się nieprzyjaciela zniechęca.

Matylda.

Nie znam się na tych subtelnościach, ale ci nie wierzę. Zresztą, bądź co bądź, żądam kategorycznéj odpowiedzi. Mów — odjedziesz — lub nie? A jeżeli odjedziesz — to kiedy?

Ewa.

Ha! trudno; ponieważ gospodyni domu wypędza, to gość pozostać dłużéj nie powinien. — Jednak odjechać nagle — niepodobna, bez stopniowego przygotowania do tego kroku męża mego, któren pomimo swéj prostoty, wpadnie niezawodnie w podejrzenie. O! nie tak to łatwo jak się zdaje. Pamiętasz?... trzeba było użyć całéj władzy jaką mam nadnim, aby obalić niecne podejrzenie jego matki, względem téj nikczemnéj awantury, niemniéj nikczemnego tego pana *Chopinella*, mniemanego mego kochanka. — Wszak nie zapomniałaś tego?

Matylda.

I ty śmiesz mi to w oczy mówić, ty?

Ewa.

A któż inny — wszak my tylko dwie w tym pokoju?

Matylda.

Nie tylko w cztery oczy, nawet w obec tysiąca, śmiało cię oskarżyć muszę o wiarołomstwo w małżeństwie, a to właśnie dla tego, że byłam przytomną inkwizycyi, którąś wytrzymała przed mężem twoim i starą panią *Sécherin*, a któréj skutek zniweczyłaś osobliwszą przytomnością umysłu.

Ewa.

Matyldo! gniew mój jest niebezpieczny — nie podniecaj go!

Matylda.

I ona mi grozi! Ona! Słuchaj mię Matyldo. Dotąd płaciłam ci dobrém za złe; — odtąd płacić będę złem za złe. Wszystkie środki będą mi godziwe. Nacierasz — ja się bronić będę. Od czterech miesięcy przemieszkujesz w mym domu — przez cztery miesiące kazałaś mi żałobę nosić w sercu.

Za co? za co mój Boże!? Przez cztery miesiące kazałaś mi zwolna konać, i milcząc, konałam! Muszę się nakoniec ocknąć z téj gnuśnéj nieczynności. Jeden mi tylko środek pozostał — użyję go; — tak, użyję go. Opowiem mężowi memu że pierwszym i szczęśliwym twoim kochankiem był Pan *Chopinelle*. —

Ewa.

Nierozsądna! Strzeż się; — nie przyprowadzaj mię do ostateczności. Ja zgniotę twoje szczęście na miazgę! A to jeszcze dzisiaj — za godzinę — za chwilę — w jedném oka mgnieniu.

Matylda.

Ha! Zerwałam ci maskę z twarzy! Dowód jasny; — zadrżałaś na moję groźbę, — a więc, rzecz oczywista — ty kochasz Gontrana. Starałaś się działać na wyobraźnią i na zmysły jego, czarodziéjskiemi twemi kuglarstwami.

Ewa.

Za którebyś zbawienie twoje oddała, — gdyż tym magnesem przyciągnełabyś do siebie Gontrana.

Matylda.

Podobna myśl, powstać tylko mogła w twéj głowie — podobne słowa, mogły się tylko wyrwać z ust, co się miłośnie uśmiechały do takiego kochanka, jak Pan *Chopinelle*.

Ewa. (*porywając się z krzesła*).

Spójrzyj mi w oczy Matyldo! Co w nich widzisz?

Matylda.

Wyskok trucizny!

Ewa.

Co słowo, to obelga! Ale co słowo, to prawda. Niech i tak będzie. Zerwałaś mi maskę. Cieszy mię to mocno, gdyż ta maska pali mi twarz od lat wielu.

Matylda.

Nie rozumiem.

Ewa.

Rzecz łatwa do pojęcia — tylko słuchać trzeba. (*zwolna przybliża się do Matyldy*) Ty myślałaś we mnie mieć przyjaciółkę od serca — siostrę — krewnę. — Dowiedz się więc, że zaufanie twoje i wiarę skarbiłaś dla wroga! Tak, ja ciebie zawsze nienawidziłam.

Matylda.

A mój Boże! Mnie — mnie?

Ewa.

Tak, — ciebie — ciebie! Krzywdy doznane w dzieciństwie zapominają się, ale krzywdy doznane w młodości, kwitną, rosną, żyją wraz z pokrzywdzonym.

Matylda.

Co ja słyszę! — Jakie krzywdy?

Ewa.

Wyliczę je ci zaraz. W czternastym roku zostałam towarzyszką twoją. Dojrzałam wcześniéj od ciebie, bo słońce Amerykańskie nie jest słońcem Europejskiém. Wychowanie moje było jałmużną, którą mi rzucono w twém imieniu. Na samym wstępie do domu twéj ciotki, byłam poniżoną — bo czułam i my-

ślałam jak kobieta, nie jak dziecko. Późniéj, dni liczyłam na zgryzoty nie na godziny. Co krok, to nowa krzywda, co krok to nowe poniżenie, co krok, byłam poświęconą tobie, a miłość własna moja wytrzymywała co-dzień srogie katusze, ciągłem pasowaniem się z tobą. Ewa była brzydka, Matylda była ładna! — Ewa była kopciuch — Matylda była dama — Ewa była głupia, — Matylda była rozumna; Ewa głupia? (*śmieje się*) Nie prawdaż jak to zabawnie? I ty myślisz, że ja to wszystko zapomniałam? Nie, nie. — To są rany a nie bliźny tylko. —

Matylda.

A mój Boże! mój Boże! Spełniły się więc piekielne plany panny de Maran. Wiedziała ona dobrze w jakie serce rzuciła nasiona zawiści. —

Ewa. (*z zapałem*).

Co mnie tam do ręki, która mię biła, ja tylko pamiętam uderzenie. Zawsze ty, wszędzie ty, stawałaś mi w drodze. Rok schodził po roku, aż tu nowe męczarnie rozpoczęły się dla biednéj sieroty. Pomyślano dla ciebie o mężu z wyższych stref towarzystwa. Rzecz oczywista — byłaś bogatą — ja byłam biedną. Wybór padł nakoniec na kawalera otoczonego całym blaskiem urodzenia, całym urokiem piękności męzkiéj; — a mnie?... O Boże! mnie, rzucono w objęcia człowieka gnuśnego, płaskiego, niezgrabnego, słowem w objęcia karykatury śmieszności. Czy podobna kiedy zapomnieć męczarnie jakich doznałam tego pamiętnego dnia, kiedy w moiéj obecności naśmiewano się, szydzono, obryzgano niemal błotem tego, którego imie nosiłam. I kiedy to się działo, stała naprzeciw mnie, ręka w rękę z swoim zachwycającym narzeczonym panna Matylda de Maran, jaśniejąca blaskiem, szczęściem, dumą. I ja ci mam przebaczyć twoje zuchwałe szczęście?

Matylda. (podniosłszy oczy do nieba).

Słyszysz ją, mój Boże!... Zuchwałe szczęście! Ale to są okropne wyznania kobieto. Nie, *Ewo!* ja ci niewierzę, ty się oczerniasz. Czy podobna, żeby tak młode serce, tak zatrutém było?

Ewa.

Wolno ci być kokietką cnoty — co do mnie, tego nie umiem.

Matylda.

A więc to jest rzeczywistością wszystko co słyszę? A więc ta obrzydła nienawiść sięga epoki naszego dzieciństwa? A więc każden uśmiech twój, każde przymilenie, każde pocałowanie, każda łza czułości braterskiéj, były kłamstwem, bluźnierstwem? I ty z twoim rozumem, z twą przenikliwością, niedomyślasz się, że ciotka jakimś nieodgadnionym machiawelizmem, wychowała mnie umyślnie aby w tobie zawiść wzbudzić, przewidując, że piastuje w twéj osobie przyszłą mą nieprzyjaciółkę?

Ewa.

Ja ci więcéj jeszcze powiem. Jesteśmy bez świadków. Ta, która sama się oczernia przed tobą, jest zazdrośną i zawistną z urodzenia, tak jak ty jesteś wspaniałomyślną i szlachetną z natury. Gdybyś była na mojém miejscu, wszystkie podstępy ciotki nie zdołałyby zachwiać twéj przyjaźni dla mnie.

Matylda.

Ale ponieważ wyznajesz tę moję wyższość, dla czegoż mnie nienawidzisz?

Ewa.

Właśnie dla tego żeś wyższą. Ja cię nienawidzę, — dla

tego, żem w duszy upokorzona przed tobą! Ja cię nienawidzę, boś we wszystkiém szczęśliwa! a najbardziéj cię nienawidzę, bom przymuszona była rumienić się w twojéj obecności i to z przyczyny poniżającéj mię skłonności dla tego eleganta krotochwilnego, dla tego Pana *Chopinelle*. Matka mego męża,— wszak niedawno byłaś tego świadkiem, okryła mnie najwyższą pogardą?

Matylda.

A ponieważ przyznajesz się do tego związku, zasłużyłaś więc na pogardę?

Ewa. (*niecierpliwie*)

Kobieto! Zadaj sobie nieco pracy, chciéj mię aby raz zrozumieć. Zasłużyłam na pogardę, i to przekonanie mię dręczy. Ściany tylko słyszą to, co ci tu mówię — i dla tego też ja niechcę, abyś mnie widziała taką jaką być powinnam, lecz jaką w istocie jestem. — Nie zgłębiam przyczyny dla któréj cię nienawidzę — ja tylko opowiadam czego doznaję. Loiki w tém nie ma, ale prawda jest. Słupiejesz na te bezwstydne wyznania, na tę dojrzałość filozofii. O! ty nie wiesz do jakiego stopnia zgryzoty i usamotnienie uzuć rozwijają charaktery. Gdym skończyła lat piętnaście, byłam już starą męczennicą, a ty bożyszczem tych, co uczęszczali do domu Panny Maran. Wtenczas to po raz pierwszy postanowiłam obudzić sztuką, kokieteryą, malowniczą grą fiziognomii, słowem tysiącami umizgów, przymioty, które gnuśniały w méj osobie. Pewnego dnia gorzko płakałam, wystawiając sobie świetność twego przeznaczenia; ważyłam ciężki krzyż, którem miałam nosić w przyszłości, a spojrzawszy przypadkiem w lustro, spostrzegłam, że płacz był mi może więcéj do twarzy jak uśmiech, i postanowiłam tymczasowie być smętną, melancholiczną, sentymentalną. Rola cierpliwéj ofiary nadawała mi tysiące wdzięków.— Późniéj poszłam za mąż

W kilka miesięcy późniéj i ciebie Gontram poprowadził do ołtarza, ale ty mogłaś wybierać, a ja musiałam przyjąć. Piękna, młoda, bogata, z wielkiem imieniem, z reputacyą bez skazy, zostałaś bóstwem towarzystwa paryzkiego, które czołem biło przed twojemi cnotami. Ty jesteś jak te Święte, które koło jasności otacza. Dla ciebie nie było życzenia, któreby się nie ziściło. Takie było twoje życie. Spodziewam się że to przepych szczęścia!....

Matylda.

Przepych szczęścia? (*uśmiecha się smutnie*). Więc jedynie dla tego mnie nienawidzisz? (*do siebie*) Nie, niewyprowadzajmy jéj z błędu byłby to dla niéj nowy tryumf.

Ewa (*mówiąc daléj*).

Ale nie dosyć na tem, (*z wzrastającym gniewem*). Wydarłaś mi tajemnicę śmiesznéj, gminnéj, podłéj skłonności do człowieka, godnego wygwizdania uliczników. I ja mam ci przebaczyć? Nie — nigdy! (*płacze*).

Matylda.

Ewo! dłużéj słuchać cię nie mogę; czuję, że upadam na siłach, a są mi potrzebne do prowadzenia dalszéj walki, — gdyż ty chcesz wojny — ty chcesz mi wydrzeć męża — słowem, ty chcesz tu pozostać?

Ewa.

To co zamierzam, jest w głowie, a na ustach nie postanie.

Matylda.

Mój Boże! Wojna, wojna! Dla mnie, com zawsze marzyła o jedności, przyjaźni, pokoju? Ciężko przewiniłaś przed Bogiem, kobieto! Zepchnęłaś mnie z drogi prawdy, gdyż teraz

w obronie méj przyszłości, nie pozostaje mi nic więcéj, chyba być skrytą, chytrą, zawsze zamaskowaną. Twój mąż dowie się jaką chcesz być dla Gontrana — Gontran dowie się jaką byłaś dla *Pana Chopinelle*.

Ewa (za odchodzącą Matyldą).

Co? znowu mnie drażnisz tą obrzydłą maską śmieszności. Matyldo! zemszczę się okropnie! —

Sena III.

Ewa. (sama).

Nikczemny robak może czasem srogo skaleczyć. (*Przybliża się do okna otwartego*). Odeszła; zatopiona w myślach!.... Zmierza swe kroki do mieszkania plebana. I w tym szczęśliwsza odemnie — może się modlić, może wierzyć!.. Zachowuje jeszcze wiarę w miłosci tego pięknego potworu, tego Don Juana. Onegdaj dał mi zrozumieć, że jestem nadto w jego domu. Wczoraj napisał mi list — jaki list! Na każdéj kartce nikczemność, próżność, i okrucieństwo. — Podła to istota ten Gontran! Dręczyć go będę jak zmora — i tem go skarcę, mszcząc się jako kobieta za świętokradztwo popełnione miłości Matyldy, a zemszczę się razem na niéj, jako na przedmiocie, o któren potrąciłam się w moim biegu ku szczęśliwości doczesnéj...... (*Patrząc w okno*). A! otóż i Pan domu powraca z przechadzki. Zdaje się być smutnym. Tém lepiéj! — Matyldy nie ma. Mój rycerz pewnie tu wejdzie. Zastawmy nowe sidła, kiedy się z dawnych wyplątał. (*Biegnie ku kanapie, kładzie się na niéj w malowniczéj pozycyi. — W iedną rękę bierze książkę ze stołu, otwiera ją na wpół, w drugą, wachlarz z pawich piór, i udaje, że spi*).

Scena IV.

Gontran hrabia de Lanzry wchodzi wolnym krokiem, nie spostrzegłszy Ewy. Idzie w prost do komina — siada i zaczyna machinalnie poprawiać węgle.

Gontran.

Pokój domowy! Ludzie utrzymują że to jest prawdziwe szczęście. Życzyłbym, aby tak w istocie było. Ale cóż, kiedy w téj gminnéj prawdzie nie ma smaku za trzy grosze! — Pokój domowy! I cóż mi z tego, że posiadam to co niemal każdy szewc posiada! Ale gdzie jest galwanizacya życia? Dajcie mi ją — dajcie mi ją! Matylda, anioł! Któż temu przeczy? Ale jeżeli w niebie płeć piękna podobna do mojéj żony — to kwituję ze zbawienia! (*Obraca się przypadkiem i spostrzega spiącą Ewę*). Boże! co ja widzę? Syrena tak blizko mnie! (*Przybliża się do szezlongu na palcach i przypatruje się w zachwyceniu spiącéj Ewie*). Ani Fidyasz, ani Kanowa nie byliby w stanie nic podobnego wykonać. (*Postępuje bliżéj*). O! te usta pałające i na w pół otwarte! Zamknij je, zamknij! — Dość jednego uśmiechu tych ust, aby wypędzić Matyldę z mego serca, na zawsze. Kilka dni temu, jakem płakał przed nią z żalu, ze skruchy!. (*Wyjmuje pomału wachlarz z ręki spiącéj Ewy, siada przy niéj na taborecie, i opędza muchy, całując kiedy nie-kiedy jéj nogi. Ewa za trzeciem pocałowaniem przebudza się, nie zmieniając wszakże swego położenia*).

Ewa (*ziewając*).

W podeszwę, w podeszew podły niewolniku!

Gontran.

Boska moja Galatea przebudziła się. Ewo! Ten rozkaz

pełen słodyczy każe mi się domyślać, że pokój między nami stanął, i żeś mi przebaczyła tę scenę, w któréj Matylda była suflerem a ja aktorem. (*Ewa poprawia sobie niedbale loki*) Ona to obecna a niewidzialna, szeptała mi słowa, które parzyły mi usta, w miarę jak się przez nie prześlizgały; gdyż inaczéj — powiedz, czy odważyłbym się wyrzec te słowa: »Ewo! — odjeżdżaj? To byłoby to samo gdyby Tantal odepchnął łakocie przysłane mu z Olimpu; to samo, gdybym rzekł do anioła otwierającego mi drzwi raju:« — Zamknij! Ewo! Pani moja — Królowo! Ty jesteś wszystkiem dla mnie; — mnie się zdaje że dusza moja tli się w twojéj duszy, że serce twoje, bije w mojém sercu! (*Całuje ją w nogi*).

Ewa (śmiejąc się).

No, no, dosyć tego! Trwonisz napróżno swoje wspomnienia z mitologii z Biblii i z sielanki. (*odpycha Gontrana od siebie*) Dosyć tego, mówię ci. Zaczynasz mię niemiłosiernie nudzić twemi tandresami, a więcéj jeszcze tą sztuczną mową, czerpaną w gminnym słowniku męzkiéj zalotności. Niedziwiłamby się jakiemu niemieckiemu studentowi podszytemu od stóp do głów metafizyką, ale tobie? Matylda, to co innego — onaby słuchała twoich trelów, dzień i noc, i nakoniec rozbeczałaby się.

Gontran.

Bo Matylda — kocha, a ty się bawisz!

Ewa.

Miłość jest grą dziecinną; — kto najdłużéj dzieckiem, ten najdłużéj szczęśliwy; — i dla tego też ja nie wierzę w boską sympatyą, w ślub potajemny błękitnych dusz i te mu podobne specijały; — ale ja wierzę w to, co ty wierzysz mój piękny świętoszku — w magnetyczny pociąg młodości do młodości — w plastyczną piękność ubarwioną polo-

rem cywilizacyi, — ja wierzę w związek dwóch rozumów, dwóch dowcipów między sobą rywalizujących. — Ja w to wierzę.

Gontran (*zrywając się nagle z swego miejsca*)

I proszę tu słuchać z zimną krwią podobne kacerstwa!

Ewa.

Powiedz raczéj podobne prawdy. Ty bez przerwy kłamiesz kuzyneczku — ty zawsze kłamałeś. Twoje pamiętniki miłośne są głośne po całym Paryżu — a historya naucza. Jeżeli mnie nie będziesz przerywał, to się zbudujesz tym co usłyszysz.

Gontran.

No — mów tyranie, mów!

Ewa.

Oto pewnego dnia ziewając między moim mężem a moją świekrą, kładłam sobie kabałę. — Prześladował mnie w niéj, niżnik czerwienny; — powiedziałam sobie, że to hrabia de Lancry — i hrabia de Lancry u nóg moich! — Hrabia de Lancry — piękny, wspaniały, hojnie uposażony w wielkie i w drobiazgowe przymioty męzkie, a nadewszystko waleczny i gwałtowny w namiętności. — Traf byt niezły. Trzeba ci wiedzieć Gontranie że ja jestem kobietą z męzkim stęplem. — Ty zaś, jesteś męszczyzną w całém znaczeniu tego słowa — męszczyzną *bez ogródki*, co ma znaczyć że religią twoją są ziemskie rozkosze, a bożyszczem — miłość własna. —

Gontran.

Ale! . . .

Ewa.

Milczyć! Zacząłeś mi być nieco ckliwym w odegraniu twéj roli i dla tego musiałam cię wdrożyć do porządku.

Gontran.

Co? ja gram rolę?

Ewa.

Tak jest — ty grasz rolę — a co śmieszniéj, rolę Grandysona. — Notabene, ten stan rzeczy trwa już blizko sześć miesięcy; dwa miesiące w Rouvay — a cztery tutaj, nie licząc w to, sentymentalnéj wojny oczyma i mową, którąś mię zaszczycać raczył jeszcze podczas ostatniéj méj bytności u was w Paryżu. Zważaj! — sześć miesięcy wykreślonych z méj bujnéj młodości; gdybym cię już kochała — uszłoby to jeszcze — ale ja ciebie tylko examinuję; bądź ostrożny kuzynku! pierzchnę jak motyl i . . . . . .

Gontran (któren dotąd dawał oznaki wielkiéj niecierpliwości).

I polecisz do rafineryi cukru twego męża, w Rouvray.

Ewa (wskakuje i dąży śpiesznemi krokami ku drzwiom).

Głupiec! — Jutro wyjeżdżam.

Gontran.

Jutro odjedziesz, co?

Ewa.

Jutro.

Gontran.

Ewo! Ja ci rozkazuję pozostać — tego rana, w tym pokoju — jutro, w tym zamku.

Ewa (śmiejąc się głośno).

Ciekawam, jak też ten wyrok Padiszacha przyprowadzisz do skutku?

Gontran (szybko przystępuje do komina, chwyta węgiel rozżarzony i ściska go w swojéj dłoni).

Dzisiaj — oto tak, — a jutro, pomyślę.

Ewa (lornetuje go).

A! choć żywcem wzięte z jakiegoś romansu, ale w praktyce dosyć ładnie się wydaje! No, no, porzuć szaleńcze — rozkazuję ci. (*Gontran wypełnia rozkaz*). A teraz kuzyneczku przystąp po odebranie nagrody. (*Gontran zbliżywszy się do Ewy ugina kolano. Ewa daje mu rękę do pocałowania*).

Gontran.

O radości! O rozkoszy! Odbieram pierwsze wynagrodzenie!

Ewa (z filuterną miną).

Staraj się zasłużyć na drugie.

Gontran.

O ty lichwiarzu miłości!

Ewa.

Co drogie, tego skąpo.

Gontran.

Do skarbu, skarby! Obsypię cię skarbami miłości. Odtąd każdą myśl moję jeszcze nie głośną, skreślę przed tobą, każde moje uczucie jeszcze nie objawione, uczynię ci widzialném.

Ewa.

A któż mię zaręczy, że te prawdy nie będą prawdami teatralnemi.

Gontran.

A któż zdoła ujść przed tém pyszném okiem zapaloném promieniami rozumu i przenikliwości?

Ewa.

Uwaga sprawiedliwa — lecz to są kwestye podrzędne; przystąpmy raczéj do głównych. Naprzykład, powiedz mi też kuzyneczku, czyś śledził stan serca twego.... à propos, czy boli cię dłoń?

Gontran.

Któż myśli o tem bolu, kiedy ból gdzie indziéj!

Ewa (mówiąc daléj).

Czyś śledził, mówię, stan twego serca, dzisiaj, onegdaj, kilka dni temu?

Gontran,

Na co te pytania?

Ewa.

Chciałabym się dowiedziéć jak daleko Matylda od niego — tak, przez kobiecę ciekawość.

Gontran.

Jak zawsze — im ona bliżéj, tym ja daléj.

Ewa.

A pojąłeś ją za żonę?

Gontran.

Bo nie miałem sobie za co powrozu kupić aby się powiesić. Wiele ten może co muśi (*z przyciskiem*) a to przysłowie rozumieją dobrze ci, co muszą.

Ewa.

Rozumiem go.

Gontran.

Nie gniewaj się monarchini moja! I mnie i ciebie los wydziedziczył — ale za to stworzył nas dla siebie. Dwie strńy jednakowo nastrojone, są najwyższym wyrazem harmonii.

Ewa.

Jak widzę kuzyneczku! nie znasz praw kombinacyi tonów, gdyż harmonija nie jest bynajmniéj skutkiem brzmienia jednogłosowego, tylko skutkiem pożenienia tonów sobie nieprzyjaznych. —

Gontran.

Co ma znaczyć, że wolałabyś charakter męzki bardziéj sprzeczny twemu.

Ewa.

Hm! kto wie?

Gontran (*boleśnie*)

Ewo!

Ewa.

No, no, tchórzu,— podaj mi rękę.

Gontran (*uginając kolano*).

Bóstwo moje! Obrzęd ślubny spełniony

Ewa (na stronie).

Sprobujmy go. (*głośno*) Ale śluby towarzyskie jeszcze nas krępują. —

Gontran (wołając).

Zerwijmy je.

Ewa.

A kodex?

Gontran.

Przekleństwo na niego (*namyśliwszy się nieco*). Wiesz co Ewo? — Ucieknijmy!

Ewa.

A pieniądze. —

Gontran.

Oprócz posagu i hotelu naszego w Paryżu, majątek Matyldy w moich ręku.

Ewa (na stronie)

Podły! — (*głośno*). Wiele?

Gontran.

Milion!

Ewa.

A w tym milionie, karty, kości i zbytki, któremi mnie otaczasz, musiały znaczny wyłom zrobić. —

Gontran.

Zabrnąłem w długi daleko za połowę (*zamyśla się*)

Ewa.

Jegomość cóś się zamyślił.

Gontran.

Ja?..: Tak — myślę o posagu Matyldy i sposobie złowienia go.

Ewa (*urągając się*).

A!

Gontran.

A ty Ewo, nie potrafiłabyś co wydrwić u twego cukrowego Adonisa?

Ewa.

Oczy, bardzo łatwo, a pieniędzy nie chcę.

Gontran.

Dla czego?

Ewa.

Bo przy cudzéj własności — honor na straży stoi.

Gontran (*z podejrzliwem podziwieniem*).

Z téj strony jeszcze cię nie znałem.

Ewa.

O! ze mną trzeba od abecadła zaczynać kuzyneczku.... Znowu marszczysz czoło.— Nie zważaj na to — ja się bawię, zwyczajnie. (*Gontran uradowany całuje ją w rękę*). No, rozwiń mi daléj twe zamiary.

Gontran.

Ja przed tobą jak student co lekcyi nie umie. Słowem, boję się.

Ewa.

Liczyć nie zawadzi jednak.

Gontran.

A więc, z dzielnym ułamkiem majątku Matyldy, jednym lotem w świat! Nie będziem wprawdzie bogaci — ale ty wiesz Ewo, nie tam raj gdzie bogactwo, ale tam gdzie miłość.

Ewa.

Sługa uniżona! owoce, mleko, miód, woda! Otóż dawny spis gastronomiczny arkadyjskiéj miłości! Nie, nie — te łakocie dla takiéj pary jak nieboszczycy Paweł i Wirginja, ale nie dla Ewy. — Ja ci powiem co dla mnie potrzeba, aby serce moje odświeżało się zawsze i zawsze. Dla mnie potrzebna jest ogromna przestrzeń, gdzie by się mogła wybujać moja piękna młodość wraz z gorącą fantazyą. Mnie jest potrzebny wir świata. Ja powinnam ciągle używać darów, co bezustanku sypie róg obfitości dziśiéjszéj cywilizacyi — a na to wszystko trzeba średnicy ognistéj taką jak jest Paryż, a dla Paryża trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze pieniędzy! — To dla zmysłów. Teraz dla serca. I tak kiedy ja kocham, to chcę zazdrość wzbudzić w drugich — a to jest rozkosz! Kiedy ja kocham, to chcę aby w moich oczach przeglądały się tysiące mezkich ócz — a to dla tego aby mój luby szczycił się ciągłym tryumfem — a to jest roszkosz! Ja chcę dowodów miłości rycerskich. Kiedy powiem wybranemu odemnie: »milcz rok cały.« To niech milczy rok cały!: Dostań mi puchu łabędziego z Islandyi — to niech rozwinie żagle natychmiast! — ale ja czuję że się spale na stosie jak Indjanka po moim kochanku! Kiedy ja kocham nakoniec, to chce festyny wspaniałe, uczty szalone jakich wy mężczyzni między sobą używacie! Ja chcę blasku, blasku, — przepychu, — ja chcę zachwycających drobnostek i przyzwyczajeń wielkiéj damy. — Ja ubóstwiam klejnot piękności niewieściéj, a te można stracić w gminnych kłopotach domowych. Taki to jest program życia Ewy. Jeżeli moja filozofia ci się bezecną zdaje, to drzwi nie zamkniete — świat szeroki, a kobiet na nim miljony.

Gontran.

Taką, taką nie inną chcę cię mieć! Nie ma rozkoszy, nie ma sławy, nie ma tryumfu w podbiciu serca takiego baranka jak Matylda — ale rozkosz, sława i tryumf, ułagodzić i zawładać całą naturą takiéj hożéj i pięknéj pantery, jak ty Ewo. —

Ewa.

Z metafizyki, wpadłeś w historją naturalną! Smieszny z ciebie człowiek Gontranie.

Gontran.

Więcéj jak śmieszny. — głupi, szalony, opętany. — Jeżeli można wierzyć w te magnetyczne spojrzenie co przypisują szatanowi, kiedy stawia sidła na złowienie duszy ludzkiéj — to powiem że ty go masz kobietą. (*Podczas tego oświadczenia Ewa z zimną krwią plecie sobie wianek z kwiatów co stoją w kryształowym naczyniu na stole*). Ty niewiesz, ty nie pojmujesz, przez głowę ci nawet nigdy nie przejdzie, do jakiego stopnia ja cię kocham. Wzdrygam się na to co ci mam powiedzieć. Dowiedz się więc, że gdybyś tego tylko zażądała, to bym się spodlił, to bym się zbrodni dopuścił. (*Spojrzenie pełne pogardy Ewy*).

Ewa.

Ja takiego poświęcenia od ciebie nie żądam kuzyneczku — ja chcę tylko, abyś do Paryża pojechał — abyś Matyldę tu zostawił samę. Na mój rozkaz, mąż mój uda się także tam.

Gontran.

Żądanie twoje tak niospodziane, że..... muszę trochę myśli zebrać.

Ewa (*wstaje*).

Dobrze. Tym czasem zadam ci jedno pytanie. Powiedz mi kuzyneczku, czy nie przypominasz sobie pewną aryję

z pewnéj opery, i jakie ona będzie mieć dla ciebie znaczenie kiédy ci ją zaśpiewam? — tam (*wskazuje na drzwi po lewéj stronie widzów*) w moim pokoju!

Gontran (przypominając sobie).

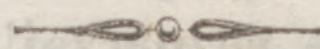
O szczęście nieporównane — co ja słyszę?

Ewa.

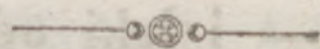
Coś usłyszał.

Gntran.

O aniele mój. Naznacz dzień odjazdu do Paryża. (*podaje rękę Ewie, i razem odchodzą do gabinetu na lewo*).



Z ŻYCIA HOFFMANA.



Hoffmann w Berlinie późno w noc do swojego wracając mieszkania, szedł zwolna i marzył o nowych fantastycznych powieściach, które tak chętnie czytająca publiczność przyjmowała — gdy nagle dźwięczne tony strojnego fortepianu o jego obiły się uszy. Głos ten wychodził z otwartego okna na drugiem piętrze nie bardzo pozornéj kamienicy. — Hoffmann, znawca i zapalony miłośnik muzyki, jakoby siłą elektryczną uderzony, przystanął — słucha, — wszystkie w nim tętna zadrzały: odgadł, że te dzwięki w ognistéj zrodzone duszy, że mistrzowską wywołane są ręką. Naprzód były to miękie, słodkie, a przytém rzewne i smętne, z serca bolejącego żałosne uczucia — Hoffmann je zrozumiał! — Następnie stawały się mocniéjszemi, dziwną, okropną, przejmującą wydając *dyshar-*

monją: podobną do przejścia z tęsknéj boleści do najgwałtowniéjszéj rozpaczy, któréj już i łzy swoiéj odmówiły usługi — serce Hoffmanna zadrzało. Co raz silniéj dzikie tony wyrażały cierpienia ostateczności, co raz większa burza zdawała się miotać duszą grającego mistrza, — w końcu, Hoffmann do głębi tém wzruszony — mniemał, iż widzi anioła śmierci czarnemi skrzydły swoję ogarniającego ofiarę — kurczowo ściska ręce, uderza w bramę, mija odźwiernego — który z podziwieniem za nim spogląda, i jak szalony spieszy po ciemnych wschodach na drugie piętro — wpada do pokoju.... Od fortepianu podnosi się młodzieniec blady, wynędzniały, i dzikim mierzy go wzrokiem.

— Chłopcze ukochany! jedyny! — woła Hoffmann i rzuca mu się na szyję — nie rozpaczaj! nie umieraj!

— Zkądże pan wiesz? — i młodzieniec cofa się z przestrachem.

— Odczułem to w sile gry twojéj!.... Ktoż jesteś? i jaki masz powód do tak gwałtownéj rozpaczy?

— Któż pan jesteś, co mnie się o to zapytujesz?

— Jestem Hoffmann.

Hoffmann! Hoffmann! — i leki odcień rzewnéj radości zajaśniał w rysach wewnętrznem cierpieniem przyćmionych.

Hoffmann uścisnął raz powtórny młodzieńca i wybadał tajemnicę jego.

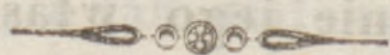
Adolf — tak go nazwę — był synem ubogiéj wdowy, która z tego co jéj przez dawanie godzin matematyki, przesyłać był zdolen, jako też i z pracy rąk swój córki, jedyne miała utrzymanie. Ukończywszy kurs prawniczy, Adolf miał właśnie nadzieję pozyskania posady, którаby matce i siostrze lepszą zapewniła przyszłoоć, gdy jeden z znajomych jego — na wsi mięszkający — przysłał mu kilkaset talarów z prośbą ażeby mu pewne kupno załatwić raczył. Nieszczęście chciało że młodzian, mając owe pieniądze przy sobie, wciągniony został w grono młodzieży, która go — jakoby nie umyślnie —

do domu gry powiodła. Zachęcony ich zgubnym przykładem, Adolf postawił na kartę dukata, wygrał — zagiął *paroli*, wygrał — trzeci, czwarty, piąty raz, zawsze i zawsze wygrywał. Ośmielony tym zabłyskiém szczęścia, co raz daléj się zapuszcza — odzywa się w nim pierwszy raz w życiu niecna namiętność — kupi się złoto pod jego ręce, — Adolf drzy z chciwości: widzi szczęśliwy los dla ukochanéj matki i siostry.... Ale niestety! w przeciągu dwóch godzin nie tylko cała wygrana, lecz i pieniądze nie jego własnością będące, przeszły do rąk oszusta! — Zdeptane zaufanie, stracony honor — nieszczęsne skutki lekomyślności! — gwałtowne wyrzuty sumienia — smutna przyszłość matki, — ah! wszystko to aż nadto przygniotło szlachetną duszę zawiedzionego młodziana — żegnał więc swiat, żegnał go nie bez żalu: on jeszcze był tak młodym, przyszłość niegdyś w tak ułudnych wymarzył sobie obrazach — żegnał świat muzyką, którą tak namiętnie lubił, przelewając w wywołane tony uczucia swoje: on nie miał przyjaciela, przed którymby swoje pożegnawcze żale był mógł wynurzyć! — na stole opodal leżał pistolet nabity.

— Drogi, ukochany chłopcze! — zawołał Hoffmann, wysłuchawszy krótkiego opowiadania Adolfa — błogosławię opatrzność, która mnie tędy poprowadziła. Ja ci dopomogę, ja ciebie poratuję! ja w nócie twojéj odgadłem wszelkie cierpienia i walkę, odgadłem szlachetne uczucia i pogardę życia!.... Ja ciebie pokochałem, pokochałém ciebie w téj chwili, kiedy cię dusza moja zrozumiała..... Znam ja owe bezdroża, na które ciebie powiedli, lecz ty tam już nigdy nie powrócisz: twoja dusza została nieskażoną, a błąd chwilowéj lekkomyślności gorzkiem opłaciłeś doświadczeniem.

J Hoffmann ściskał i pocieszał Adolfa — przyrzekł mu, iż przed południem potrzebne pieniądze mieć będzie, i zanim odurzony młodzian był zdolen swoję wdzięczność okazać, — już Hoffmann, nucąc sobie piosenkę — on tak był szczęśliwym w téj chwili! — wybiegł na ulicę. —

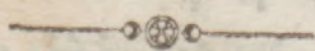
Nazajutrz sławny autor znanych powszechnie i tyle cenionych utworów: *Kater Murr* i *Meister Floh*, sprzedał swój złoty zegarek, kosztowną tabakierkię, piękny pierścień i swoję ulubioną laskę z złotą gałką, — a gdy to wszystko jeszcze nie było wystarczającem, udał się do jednegoz przyjacioł, któren mu brakującéj dopożyczył summy. — W południe młody Adolf łzami wdzięczności skrapiał ręce swojego dobroczyńcy.



Powyższe zdarzenie — z zatajeniem nazwiska nieszczęśliwego młodzieńca — opowiadał Hoffmann mojemu ojcu z którym w przyjaznych zostawił stosunkach, twierdząc, iż nie znał wyższéj roskoszy nad pomoc niesioną nieszczęściu, nad wiedzę, że się przyczynił do powrotu na drogę cnoty, obłąkanego młodzieńca.

Paulina z L — W.......

UMNICTWO.



Daliśmy w pismie naszém życiorys Danneckiera (str. 138) ze zdaniem krótkiém o jego *Arijadnie* przez naocznego świadka. Teraz udzielamy czytelnikom Przeglądu naszego opis tegoż samego Arcy-dzieła, w *Listach z zagranicy* przez jednego ze współ-ziemian naszych S. W.

»Jak mi się zdaje, to nowoczesna rzeźba nic nie wydała co by więcéj przypominało utwory Klassycznéj Sztuki Grecyi i Rzymu.. Chodziłem kilka razy przypatrywać się téj pięknéj Bachantce, jadącéj na panterze, i zadumanéj o niewdzięczności swoich Kochanków. Wie ona jak jest piękna, i mimo nieszczęść czoło jéj w górę wzniesione: Spojrzała na ciebie;

objąłeś wzrokiem jéj postać; i natychmiast porwała cię w światy bajeczne. Nie jest to opuszczona kochanka Tezeusza, litość pragnąca obudzić; ale pyszna córka królewska, i żona bożka. Prawą nogę, założoną na lewéj, ma spuszczoną ku ziemi, lewą rzuciła wzdłuż grzbietu pantery, łaskawéj, posłusznéj, bo taśma którą ją prowadzi, wolno na szyi wiśi.

»Lewą ręką wsparła się na karku wiernego zwierza, prawą przytrzymuje wiszącą z pod siebie draperiję; przytrzymuje trzema tylko palcami, draperya tak jest lekka że widać iż nie potrzebuje do niéj całéj dłoni.

»Pantera, jakby się bała przerwać dumania swéj pani, kroczy powoli. Na jéj łeb potężny, wielkiemi zęby uzbrojony, pada jakiś urok i odblask jeźdźca, którego niesie: jest więc tylko mocny i groźny, ale nie straszny. Postawa Aryadny cała prawie prześliczna i żywa; mówię cała prawie, gdyż naprzykład noga, ta co spuszczona, bardziéj jest z marmuru jak z ciała. Głowa wolałbym żeby raczéj była na dół pochylona; i mniéj miała pychy a więcéj tkliwości; zgadzałoby się to więcéj z całą historyą córki Minosa. Pantery bok może za płaski i martwy. Cała jednak kompozycya ma wiele prostoty, piękności i wdzięku prawdziwie starożytnego. Bethman, który jest czy był jeden z tutéjszych bankierów, nabył to słyszę za dwadzieścia tysięcy złotych niemieckich; czem też na wieczne czasy kupił sobie w Frankforcie sławę Mecenasa. Była kiedyś i w Polsce rodzina Bethmanów za czasów pierwszych Jagiellończyków, może ta sama: należeli do możniéjszych mieszczan szlacheckich Krakowskich. O jednym z nich, na imie Seweryn, jest piękna w kronikach wzmianka. W czasie pożaru w kopalni Wielickiéj za Zygmunta I, spuścił się pierwszy, z wielkiem niebezpieczeństwem na ratunek będących tam robotników i ugaszenie ognia, a miał już blisko lat dziewięćdziesiąt! Bohaterski ten i sławy godzien starzec był wtenczas burmistrzem krakowskim.

DUMANIE OBŁĄKANEGO.

Sam jeden jestem! mnie opuścił świat,
Skrzepł w sercu zapał, zwiądł nadziei kwiat!
Wygasła miłość — któréj dawniéj żar
Na żywot rzucał tak uroczy czar!
Ach miłość! zapał, boski natchnień lot
Co popęd dawał mi do wzniosłych cnot
Ach jakiż w sercu mi sprawiły ból!
O pęknij sercę — niech się zmięsza myśl,
Jam dąb spróchniały co drży pośród pól
Jam nurt zapadły, prądzie mój ty kryśl
Nadziei martwéj, jako nafla zrąb
A niech się strzaska, méj istności dąb!
Dla czegoż ludzie, — zimni jako lód
Natchnienie warzą kiedy jawi cud?
Dla czegoż mienią że mną władnie szał,
Gdym ja tu szczęściu ich pieśń nucić chciał?
Dla czegoż biorę za spółczucie srom?
Oddałem wszystko, żonę, dzieci, dom,
By tylko braciom, — jawić uczuć pieśń
A oni za to, — cisną mnie pleśń!
I ludzię, — szydzą, z wrżących uczuć mych
I swoi gardzą, bom poświęcił ich
I wszystko, niesie wzgardę, wyśmiew, srom
I dążność moję zwie szaloną, złą!
Jak tu nie szaleć za nagrodę tą?
O niech mą istność, strzaska niebios grom!

